

YVES FLORENNE.

Nowoczesna panna.

— Zaczynam!

Genowefa stała za siatką, dwoma palcami dotykając siłpa. Odwróciła się do Guy Bossis'a, który zbliżał się bez pośpiechu krokiem nonszalanckim i zlekka kofyszającym się, jakimś młodzieńcem ludzkiego towarzystwa pragnącym okazać swoją wzdargę dla wszystkiego, co ich otacza.

— Mamy ich! — rzekła.

Zamiast odpowiedzi, uderzył ją zlekka i żartobliwie.

Zgięła kolana.

Zadrwił:

— Cóż to? Tracimy odporność?

Wyprostowała się, wyciągając ku niemu szczupłą rękę, opaloną na kolor brązu, w której trzymała rakietę:

— Zobaczysz!

I dodała poufnie:

— Nicole jest pobita!

Biała piłka nisko przeleciała nad siatką, jak mewa, odbiła się, krzyżując swój lot, uleciała — w przestrzeń, powróciła, dwukrotnie uderzyła o ziemię i uniosła się znowu. Równie dokładnie, równie szybko i bardziej lotnie jeszcze, Genowefa gonila za nią, przerywając jej lot, odbijając ją i podchwytyjąc znowu.

Przyjaciele podziwiali Genowefę, nietylko może za zręczność jej, ile za wszechstronność: poświęcała się wszystkim sportom z jednakową radością, a wyraz „poświęcenie“ nie był czczeniem określeniem tylko. Oddawała się ruchowi, podporządkowując mu technicznie swych płuc, bicie swego serca, wszystko życie swego jestestwa, w stałej pogoni za niedoścignionym i nieznanym celem. Mówiono o niej:

— Spójrzcie na nią! Jest stworzona do tego.

Nie pomyślano o tem, że nie była do tego „stworzona“, lecz może tylko „przymuszona“ przez tych, co tak mówili. Nikt się nie dziwił, że wątki jej ramiona i delikatne ręce zmieściły podobny wysiłek; nikt nie zdawał się widzieć, że było z jej strony zarazem monstrualnym wyczynem i bohaterstwem, że sprostać mogła grom i zabawom młodych atletów, swych towarzyszy.

Oni zaś, śmiejąc się, mawiali z przekonaniem:

— Jest zdumiewająca!

Zdumiewała wolą swą i dumą, a wobec tego, że nie zdradzała swego zmęczenia, przypuszczano, że siły jej nie mają granic.

Set miał się ku końcowi. Podczas, gdy partnerzy jej zbierali piłki, na chwilę jedną przygięła się, a dokoła ust zarysowało się zmęczenie. Jednak w chwili, gdy Guy powrócił do niej, wyprostowała się, uwydatniając piersi pod białą suknią i taniec piłek rozpoczął się znowu na czerwonym prostokacie kortu.

Nieco później wracali we czworo spadzi- stą dróżką wybrzeża, z rakietami pod pachą, zakietami niedbale zarzuconymi na pullover'y.

Guy zatrzymał się na chwilę, wyciągając papierosa i podał papierosnicę drugiemu młodzieńcowi i Nicole, która odmówiła. Genowefa rozejrzała się wokół, a widząc zbliżającą się grupę osób, wybrała papieros gipski i zapaliła go wyzywająco:

Zachowanie jej raziło nawet najbardziej pobłażliwe osoby. Pozostawiona niemal samej sobie, zarówno tutaj, jak i w Paryżu, podejmowała swych gości ośmielając się, gdy zbierali się u niej. Zebrania te ciągnęły się długo w noc i opowiadano sobie o nich wiele nieokreślonych rzeczy.

Chętnie dostarczała kanami plotkom, a nawet je prowokowała, nietylko słowami, ale zachowaniem, dwuznacznym i zagadkowym, któremu jednak nie można było zarzucić braku przyzwolności.

Podobne zachowanie można było wytłumaczyć chęcią budzenia podziwu, zwracania na siebie uwagi, gdyby temu nie przeczyła jej inteligencja, jej lekka ironja i pewna chęć przesady, przesady gorzkiej i bolesnej, której nikt nie wyczuwał, choć wyrażała nią swoją rozpacz i wyzwanie wobec świata, jakby pragnęła z niego dźwignąć i mścić się na nim zarazem.

W hotelach dzwoniło na obiad.

Rozstali się w pośpiechu. Guy rzucił rakietę:

— A więc dziś wieczorem, Gilette? Zgodziła?

— Zgoda.

Dwie godziny potem jechali autem w kierunku Hawnu. Guy dziś jeszcze pragnął wypróbować swój nowy Trugatti i na drodze równej, dziwnie oświetlonej blaskiem latarni morskich, wśród łoskotu motoru, bez słowa, nie patrząc na siebie, mknął z zawrotną szybkością w bezmyślnym odurzeniu.

Skurcz zmusił Guy'ego do zwolnienia biegu i zniecałka znaleźli się pod urokiem ciepłej nocy letniej, ciężarnej zapachem kwitnących drzew, cichej i tajemniczej.

Guy znowu przyspieszył biegu i samochód popłynął jak łódź wśród łąk, na których jak białe plamy unosiły się zbudzone krowy.

Zniecałka widnokrag przed nim rozświetlił się, zajaśniał srebrzyście, zaszemrał. Morze! Bieg wśród przestrzeni sprowadził ich zpowrotem do Ebreit. Wysiedli. Stanawczy na nogach, Genowefa zachwiała się. Zmęczenie i powietrze obezwładniły ją rozkosznie. Przemogła się i skierowała ku morzu. Czuła to dziwne wzruszenie, które napadało ją niekiedy, gdy była sama, a znajdowało swoje ujście w niewyczerpanych awerwowych łzach. Niemal nie uswiadomiła sobie, że towarzyszył jej uśmiech jej twarzy w swoje ręce i zbliżył do swojej... Mgnienie

to wydało się jej krótkie i bezgranicznie długie zarazem, wspaniałe i niepospolite, jak jazda przed chwilą. Lecz i tym razem także wróciła do siebie. Zwolniła się z jego ręk, wskoczyła do samochodu i odjechała sama.

Gdy znalazła się w swoim pokroju, na łóżku, wtuliła głowę w obnażone ramiona. — Starala się nie myśleć, bo radość, jaka w niej powstała, rozsadzała jej piersi. Czuła dokoła siebie i w sobie szum potężny, jak wówczas, gdy płynęła przeciwko falom w morzu.

„Koniec! Koniec!... Koniec — tego strasznego, tak pustego życia!... Wszystko, co mówiono o niej... Ach! wiedziała najlepiej, że dziś był to raz pierwszy... Znała swoje przyjaciółki i czuła się dumna. Nieznany spokój spał na nią. Nareszcie będzie mogła okazać swoją słabość... Słabość swoją. Pieściła się tym wyrazem... A więc kochała go i, naturalnie, zostanie jego żoną... Marzyła o tem bez skrępowania i wstydu, jak zawsze marzą dzieci!...“

Obudziła się szczęśliwa. Przed lustrem ogarnęła ją lekka, ale radosna trwoga. Jakże się to stanie? Jak ma się zachować? — Ach, miała przed sobą cały ranek. Wstała, by wybrać suknię na dzień dzisiejszy. Zapukała. Pozwoliła wejść, sądząc że to służąca.

Był to Guy. Spojrzała na niego rozszereżonymi oczyma, gdy wchodził. Wesoła, bez cienia zażenowania, rzekła:

— Przychodzę z dobrą nowiną...

Zatańczę ręce:

— Doskonałą nowiną!

A więc nadeszła chwila. Usiadła, spuściwszy oczy. Czekając, przechylona przez krawędź milczenia.

— Cóż to? Nie zgadniesz? A więc zapisało cię do meczu w polu!

Doznała wrażenia, że jakaś struna pękła w jej sercu. A jednak czuła ulgę: nie miała jeszcze odwagi przemówić.

Podniosła oczy. Patrzył na nią z zażenowaniem. Przebiegł kilkakrotnie poprawił koltierz niezręcznym ruchem.

Wreszcie baknął, zażenowany:

— A co do wczoraj, chciałem cię prosić, byś nie miała żalu do mnie... Przy naszych dobrych stosunkach koleżeńskich szkodaby było, dla takiego głupstwa...

Powiedz mi, że nie przywiązujesz do tego wagi...

Nie czuła bólu. Wewnętrzna burza zmiała wszystko, co w niej żyło. Ujrzała przed sobą krwawą plamę kortu, na którym umiała się opanować, gdy zmęczenie stracało ją z mógu. Na ustach jej pojawił się uśmiech męzny i smutny:

Oczywiście, niema obawy!...

Thum. L. M.



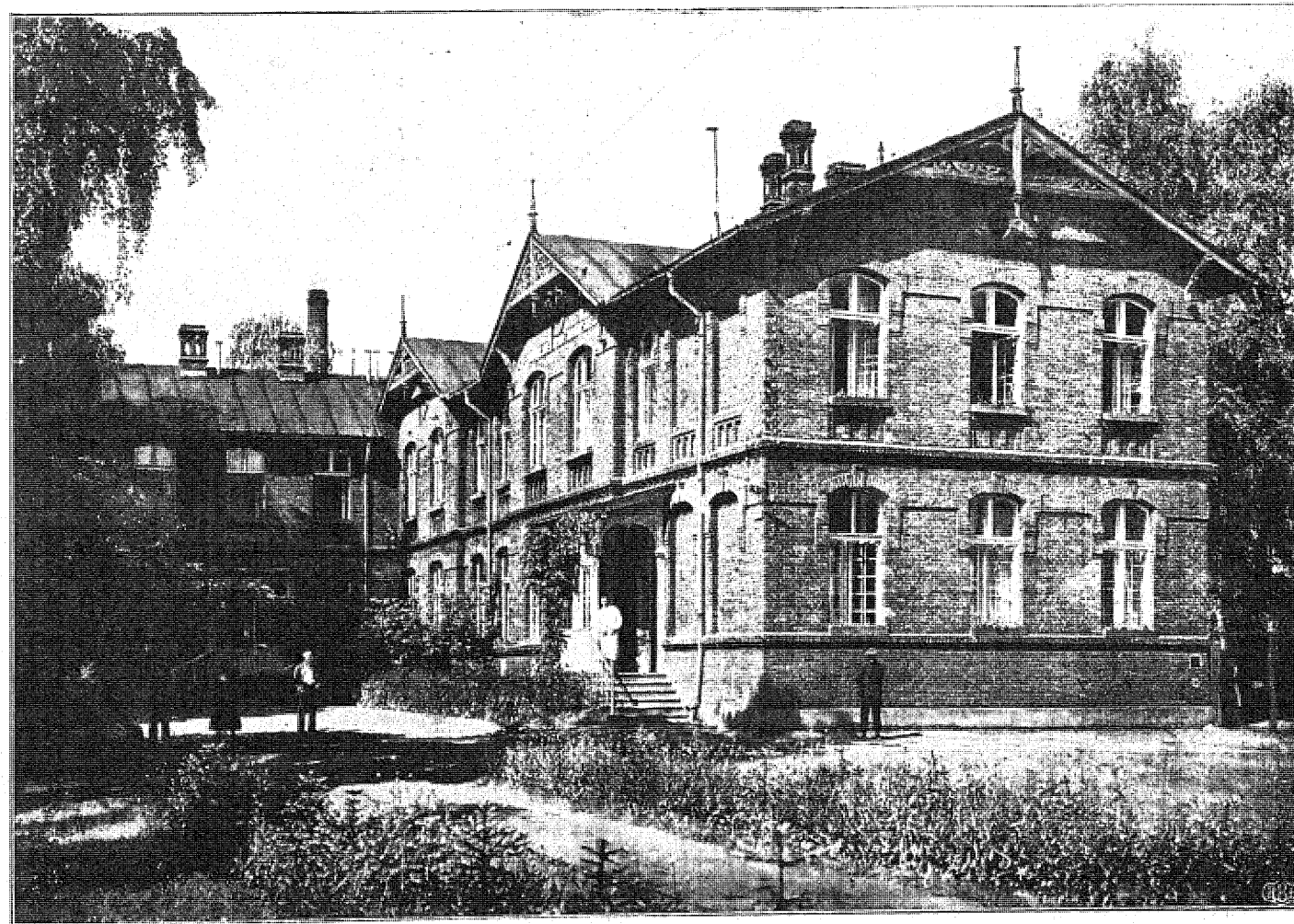
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Niedziela, 20 lipca 1930 roku.

Nr. 30.

Szpital dla umysłowo chorych w Kochanówku.



W pobliżu Łodzi, w miejscowości Kochanówek, istnieje od długiego szeregu lat lecznica dla najniebezpieczniejszych, dla umysłowo chorych, zwana powszechnie „Kochanówka“. W jej murach znajduje schronienie, przytulisko i pomoc lekarską 520 chorych umysłowo pacjentów, z których wielu powraca stopniowo do zdrowia, odzyskując świadomość rzeczywistości. Na zdjęciu powyższem widzimy fragment zabudowań szpitalnych, pawilon im. dr. Mikulskiego. Fot. Wł. Pfeiffer.

TEATRALJA.

Premjery warszawskie. — Smutny los teatrów. — Pirandello i berlińczycy. — Drobiazgi z za kulis.

Zdziwi się zapewne niejedyn czytelnik, ujrzawszy w podtytułach: „premijery warszawskie“. Że też — pomyśli sobie zdziwiony — chce się na te upały grać wogóle w salach zamkniętych i do tego jeszcze przygotowywać i wystawiać nowe sztuki. A jednak! Warszawa — nie zapominajmy jest stolicą, która właśnie i w letnich mies. gości pokazuje kontyngent przejezdnych: z tych znowu rekrutuje się duża część publiczności teatrów warszawskich, — słowem zamknąć je latem na głucho byłoby niemądre i bezcelowe, bo publiczności, mimo upały, nie brak. A zatem, trzeba grać — i nawet wystawiać sztuki nowe lub odmówione, licząc się, oczywiście, z wakacyjnymi gustami widzów.

Tak więc Teatr Narodowy, zrzuciwszy szatę powagi i koturnowości, wystawił znaną, graną niegdyś w Warszawie (a również w Łodzi) węgierską komedię Herczega — „Niebieski lis“. Mimo że oparta na odwiecznym motywie małżeńskiego drójkata, komedia Herczega może zająć i zabawić. Dzieje się to nietylko dzięki doskonałej robocie autorskiej, lecz również — dzięki świetnie postawionej roli bohaterki komedii — Ilony, granej niegdyś przez p. Gryficz-Mielewską. Obecnie przez p. Cwiklińską.

Rolę tę Herczeg naprawdę wypieścił i wycelował pierwszorzędnie, czemu się zresztą dziwić nie należy, skoro wyjaśnimy, że rola ta dla — żony autora komedii, słynnej aktorki Leopoldyny Konstantin, zgóry była przeznaczona i napisana. Choć reżyseria warszawska pozostawia tu i ówdzie nieco do życzenia, sztuka się podoba i pozostanie zapewne długo na repertuarze, ma bowiem tak świetnych wykonawców, jak p. Cwiklińska (Ilona), Gromnicka (Liza), Brydziński (Profesor) i Różycki (Tibor). — Nie będziemy tu streszczać tej popularnej komedii Herczega, przypomnimy tylko, że osiłą jej jest motyw zaaranżowanej przez Ilonę fikcyjnej zdrady małżeńskiej aby w ten sposób doprowadzić do rozwodu i uzy-

ścić możliwość połączenia się z ukochanym oddalona Tiborem.

Znacznie starsza, niż „Niebieski Lis“, a — le zawsze mile oglądana komedia angielska Brandona Thomara odkurzył i wystawił Teatr Letni, mianowicie znaną chyba wszystkim „Ciotkę Karola“. Rzecz to naprawdę zabawna i wesoła, pełna farsowych kwawłów i powikłań; błaha wprawdzie i bezpretensjonalna, ale dlatego właśnie całkiem odpowiednia na lato i... w Teatrze Letnim. — Do tej „Ciotki Karola“ zmobilizowano co najprzebieższe siły komiczne scen warszawskich, jak Kurnakowicz, Rotter-Jarnińska, Orwid, Justian i inni, którzy z angielskiej starzyzny krzeszą całe fajerwerki dowcipu i pogody.

Los niektórych teatrów polskich, w przededniu nowego sezonu przedstawia się dość młglisto i niewesoło. Przedewszystkiem, w zawieszaniu pozostaje sprawa Opery stołecznej, która — jak wiadomo — jest najbardziej reprezentacyjnym i najbardziej — deficytowym teatrem w Polsce. Magistrat warszawski postanowił się zwrócić do władz rządowych z propozycją przejęcia i prowadzenia Opery przez państwo, godząc się jednocześnie wypłacać rządowi milion złotych rocznie tytułem subsydium. Małe są jednak widoki, by w dzisiejszych ciężkich czasach rząd chciał brać na swe barki i ten jeszcze kłopot. Magistrat stołeczny ma jednak nadzieję, że może to wystąpienie o charakterze dyplomatyczno-rozpaczliwym zwróci uwagę czynników rządowych na olbrzymie deficyty teatrów miejskich i skłoni rząd do przywrócenia wypłacanej dawniej dotacji dla Opery w kwocie pół miliona zł. Zobaczymy, jak się ta sprawa rozstrzygnie.

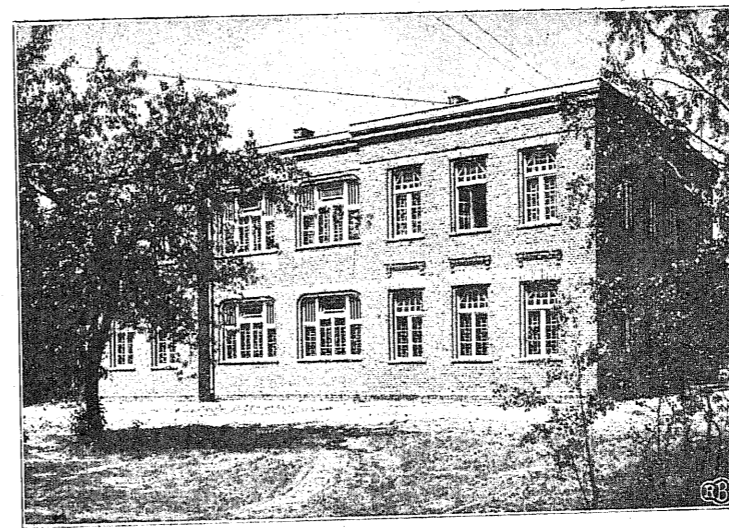
W związku z ogłoszonym przez Magistrat m. Lublina konkursem na prowadzenie teatru w sezonie 1930-31, złożone zostały oferty: kierownictwa teatru „Ateneum“ w Warszawie, ZASP, dyr. Barwiński, dyr. Wasilewski z Płocka. Ponieważ jednak municypalność lubelska nie chce czy raczej nie może udzielić teatrowi subsydium, czego domagają się wszyscy wymienieni oferenci, jest rzeczą całkiem prawdopodobną, że Lublin pozostanie bez teatru i koni-

wać się będzie musiał jedynie widowiskami zespołów objazdowych.

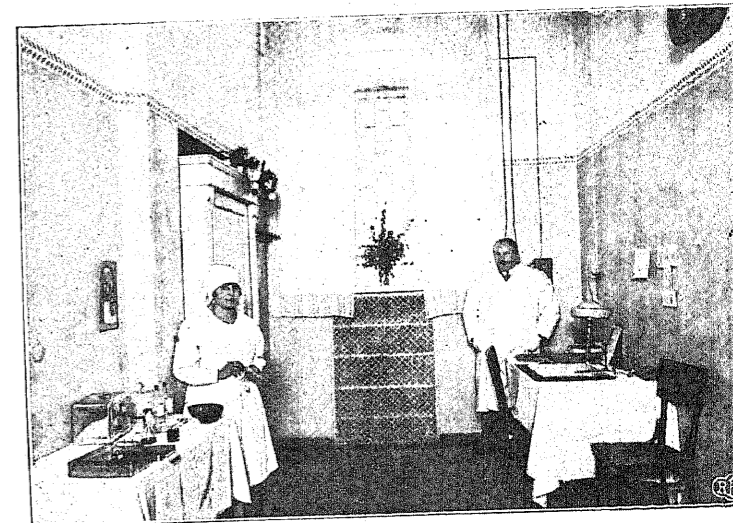
W tych dniach wystawiono w berlińskim „Lessingstheater“ najnowszą sztukę Pirandello, p. t. „Dzisiaj wieczór gramy bez przygotowania“. Jednym z trików tej wielce oryginalnej w fakturze sztuki jest umieszczenie części aktorów na widowni wśród publiczności; aktorzy ci od czasu do czasu przerywają akcję na scenie różnymi okrzykami i nieoczekiwanymi intermezzami, a wśród tych okrzyków są niektóre — zgodnie ze scenariuszem — niepochlebne dla grających aktorów. Ponieważ nie nazbyt tym razem udała sztuka Pirandello wzbudziła wśród części publiczności nastroje krytyczne, „wrogie“ okrzyki aktorów z miejsc na widowni wywołały żywe echo wśród widzów prawdziwych. Zrobiła się piekielna awantura, całkiem już nadprogramowa, kreująca główną rolę aktorka dostała ataku nerwowego, z trudem doprowadzono przedstawienie do końca — i to tylko dzięki współdziałaniu spokojniejszych widzów. — Ostatecznie, okłaskiwano nawet po ostatnim akcie aktorów, którzy przecież niczem absolutnie nie zawinili. Ale wśród aktorów znalazł się na scenie i — autor; minę miał całkiem zadowolony, tak jakby właśnie te burzliwe zajścia podczas przedstawienia były dlań oczekiwany i upragniony efektem, zgodnie zresztą z niezwykłym tytułem sztuki.

W jednym z teatrów moskiewskich urządzono specjalne przedstawienie „Revizora“ — Gogola — dla głuchoniemych; sztuka przytem grana była również przez głuchoniemych. Niezwykli artyści z pomocą mimiki i t. zw. alfabetu ręcznego wywiązaali się doskonale ze swego zadania, za co nagrodzono ich przeciągniętymi oklaskami. Wprawdzie szczególnie aktorzy oklasków tych słyszeć nie mogli, tem niemniej jednak... widzieli je i zdawali sobie doskonale sprawę ze szczerych oznak uznania „Jobranej“ naprawdę publiczności. Wobec tak pomysłnego wyniku pierwszego przedstawienia dla głuchoniemych, instytucje, opiekujące się nimi, postanowiły urządzić periodycznie widowiska teatralne dla upośledzonych i nie-szczęśliwych, a spragnionych rozrywki głuchoniemych.

Delta.



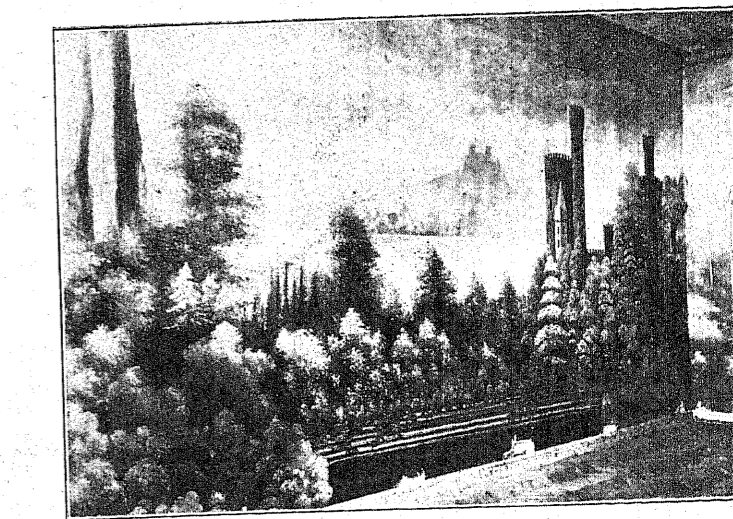
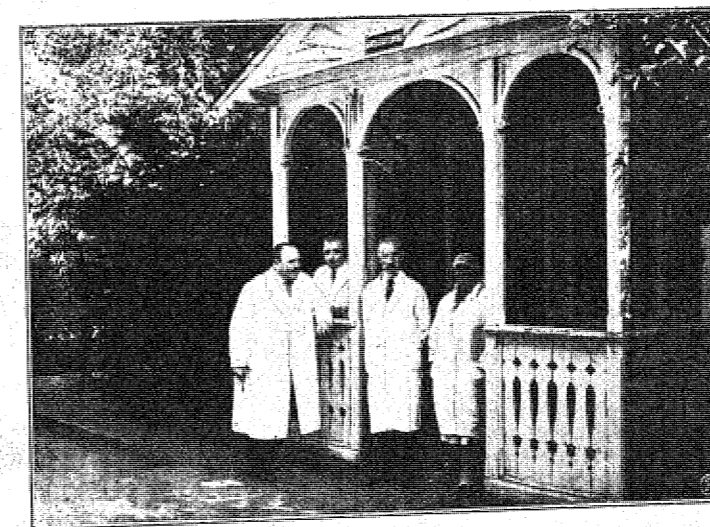
Do szeregu zabudowań szpitalnych, tworzących całość zakładu „Kochanówka“, należy pawilon im. dr. W. Chodźki, wykończony w listopadzie 1928 roku. Pawilon ten widzimy na zdjęciu od strony lewej. Na prawo kościół w Kochanówku.



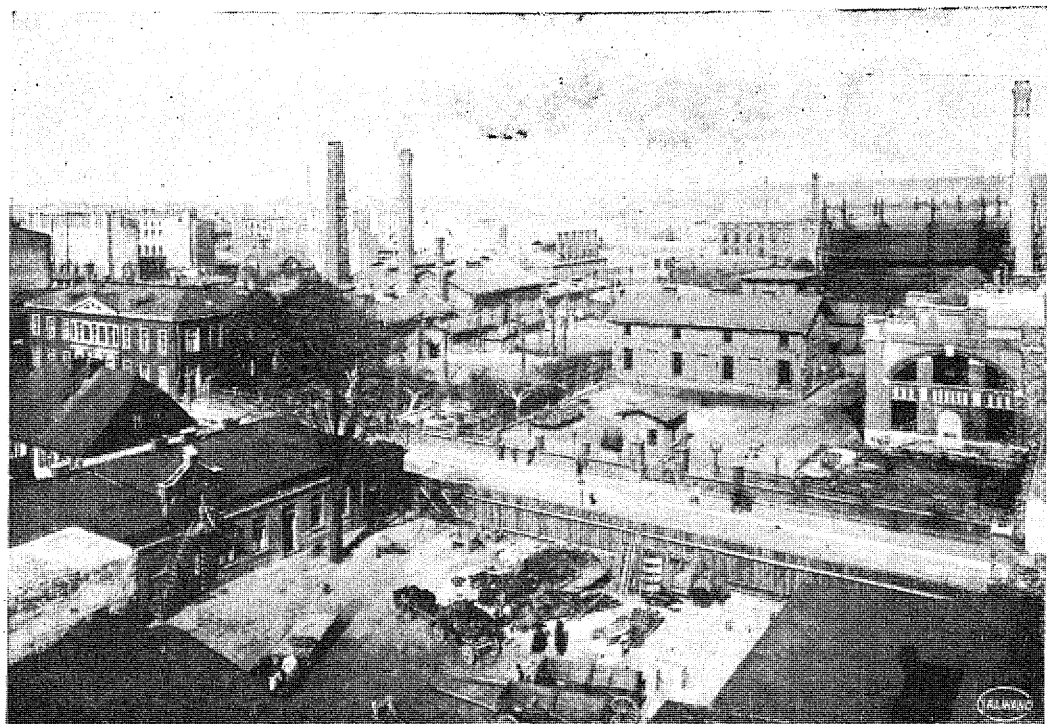
Ogólna pieczę nad szpitalem Kochanówki posiada dyrektor tego zakładu dla umysłowo chorych dr. A. Starzyński, czuwający nad stanem zdrowia i przebiegiem kuracji pacjentów. Od strony lewej widzimy gabinet dyrektora zakładu, w nim dr. A. Starzyńskiego, p. J. Słowińska, sekretarkę i p. S. Kosteckiego, głównego buchaltera. Na prawo zaś kancelarię w pawilonie im. dr. Chodźki z dr. M. Marzyńskim i siostrą D. Janczykówną.



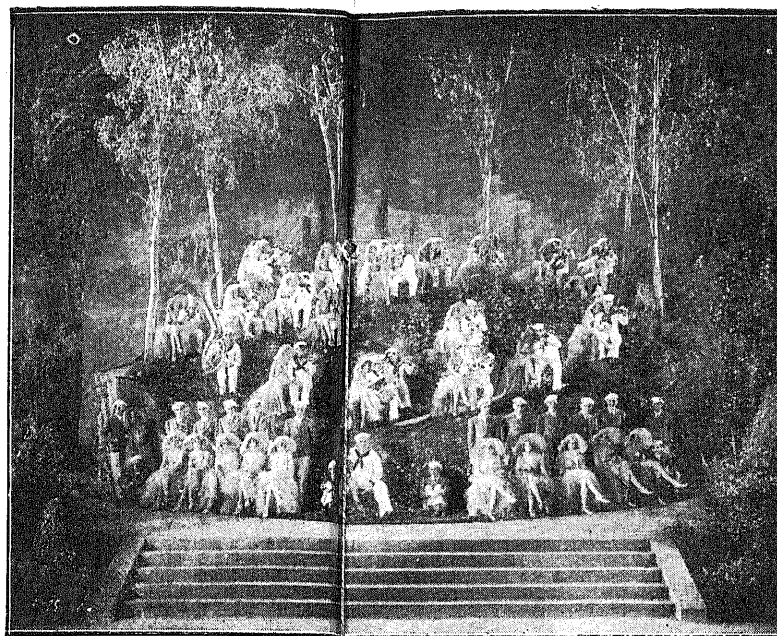
W Lutomińsku pod Łodzią odbyła się podniosła uroczystość przeniesienia relikwii z tamtejszego kościoła do kościoła kła sztornego ks. ks. Salezjanów. Na zdjęciach powyższych widzimy dwa fragmenty z tych uroczystości, a więc na lewo J. E. ks. biskupa dr. W. Tymienieckiego na stopniach świątyni, na prawo zaś przeniesienie relikwii.



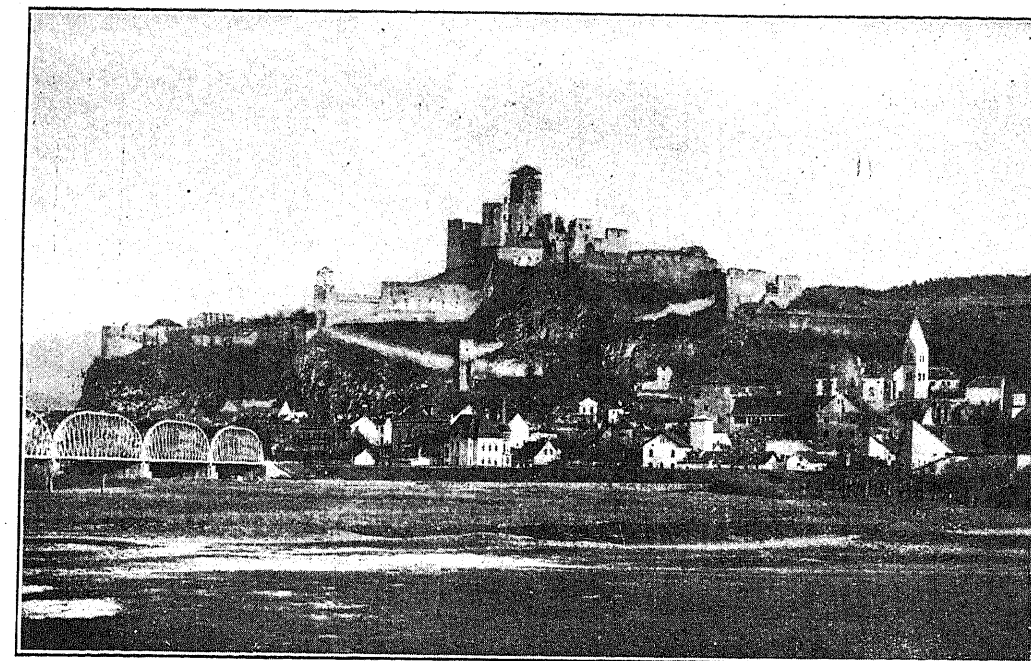
Na zdjęciu od strony lewej widzimy budynek kancelarii głównej szpitala Kochanówka z lekarzami dr. M. Marzyńskim, dr. M. Kielmuciową. Na prawo ciekawe i artystycznie wykonane malowidło ma ścianie pawilonu im. dr. M. Marzyńskiego przez jednego z umysłowo chorych.



Ogólny rzut oka na Łódź ze szczególnym uwzględnieniem terenów zajmowanych przez gazownię miejską przy ul. Tangowej.



Scena z filmu „Król jazzbandy” Pauliem Whitemanem, dyrektorem słynnej w całym świecie orkiestry jazzbandowej.



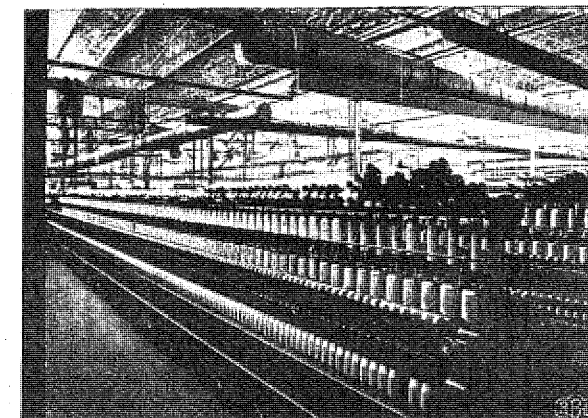
W pięknym położeniu na znacznym wzniesieniu piętrzą się mury zamczyska w Trenczynie. Zamek ten odwiedzany przez liczne wywoleczki widziny powyżej.



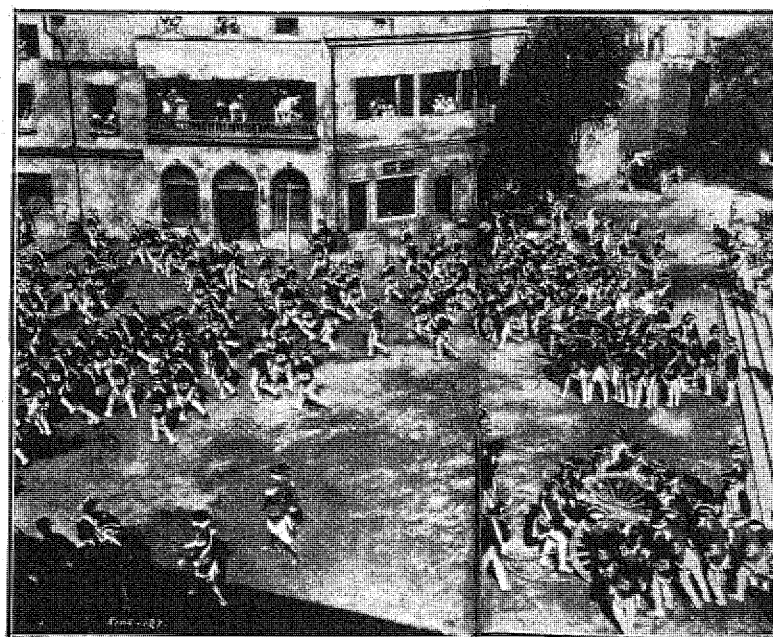
Adolf Zuckor, prezes wytwórni „Paramount”, rozpoczął w atelier dźwiękowym w Joinville pod Paryżem produkcję filmów mówionych w języku polskim.



Fragment nowego filmu dźwiękowego p. n. „Dobrze skrojony frak”, w którym główne role kreować będą Merna Kenne i Glenn Tryon.



Oto właściwości, nadające Łodzi charakter miasta przemysłowego — maszyny w miejscowych zakładach fabrycznych.



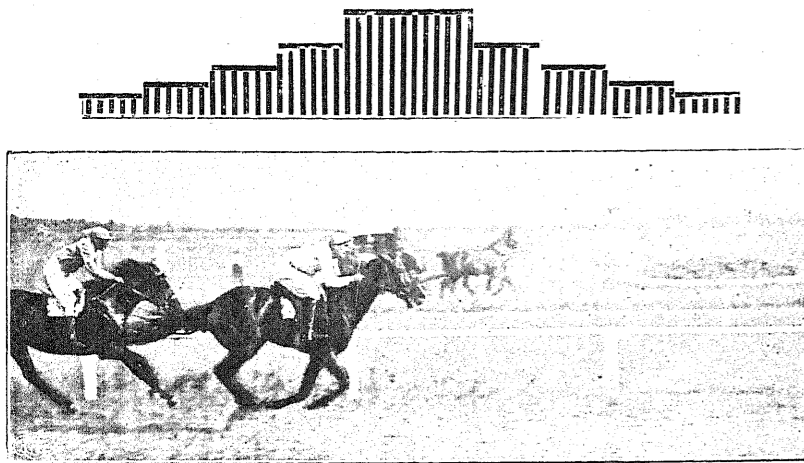
Wytwórnia „Univensal” zrealizowała film dźwiękowy „Na zachodzie bez zmian”, według powieści Remarque’a.



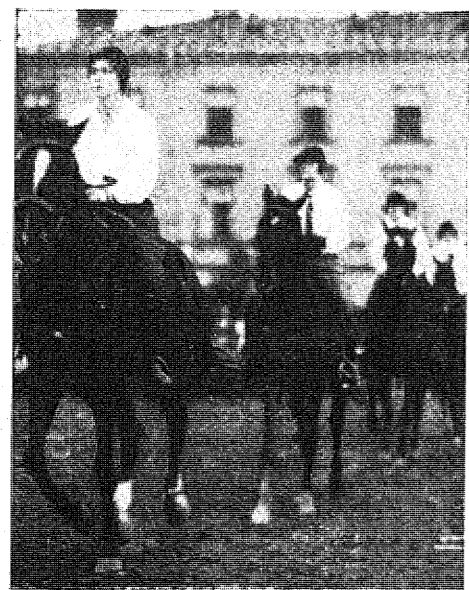
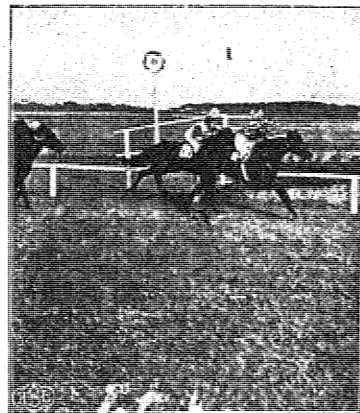
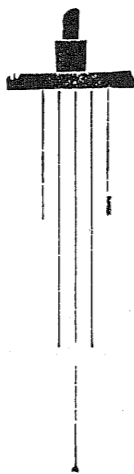
Sierżant Himmelstos, bohater powieści Remarque’a w interpretacji John Wrayla w przeróbce filmowej „Na zachodzie bez zmian”.



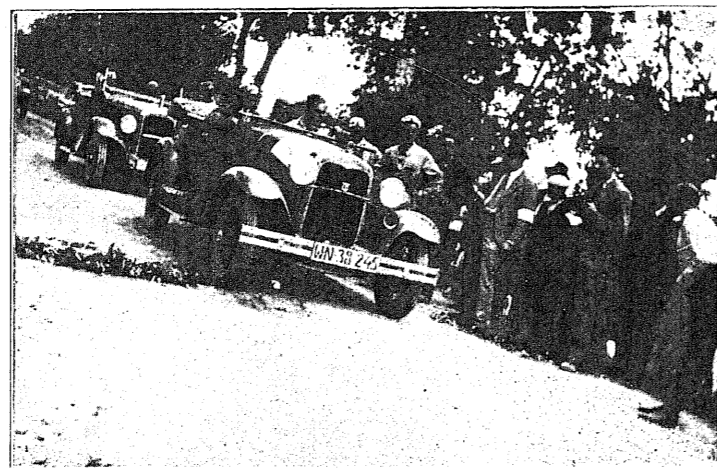
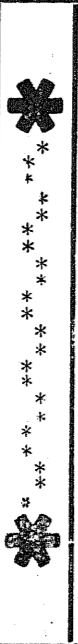
Scena z filmu dźwiękowego p. n. „Biała gejsza” z Imogeną Robertson w roli głównej.



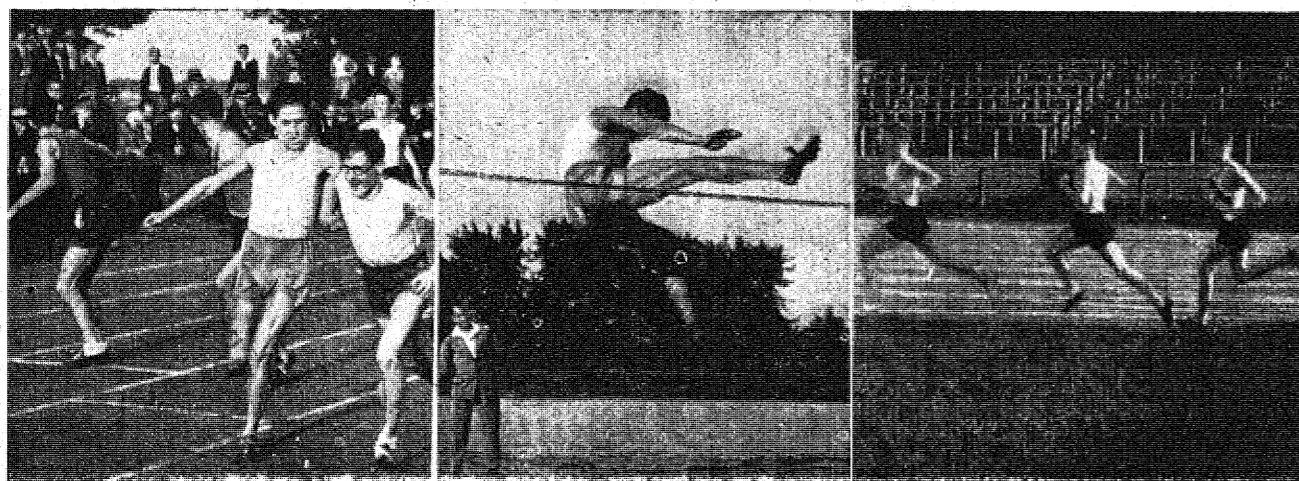
W ubiegłym tygodniu zainauguowany został na torze Rudy Pabjanickiej sezon wyścigów konnych. Na zdjęciach powyższych widzimy dwa ciekawe fragmenty z pierwszych biegów.



Amazonki „Rodziny Wojskowej“ w drodze na tor hipiczny w Warszawie.



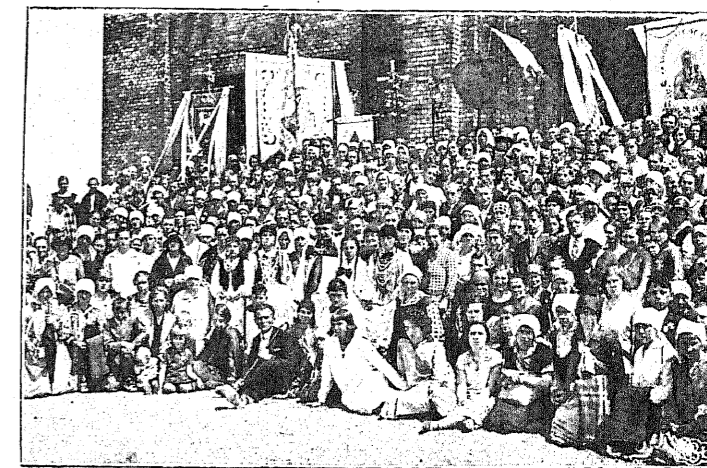
Z Międzynarodowego Rajdu Samochodowego. Na zdjęciu widzimy samochód Ford p. Kureca, który mimo wypadku w drodze przebył ostatecznie 508 km. z Gdyni do Warszawy i zdobył III miejsce na stancie w Tyrzowie Wołowskiej.



Z międzynarodowych zawodów P. Z. L. A. Od lewej strony fragment sztafety szwedzkiej, w środku Stanisław skacze 180 cm., na prawo Iokivizta, Kusociński i Petkiewicz w czasie biegu 1500 mtr.



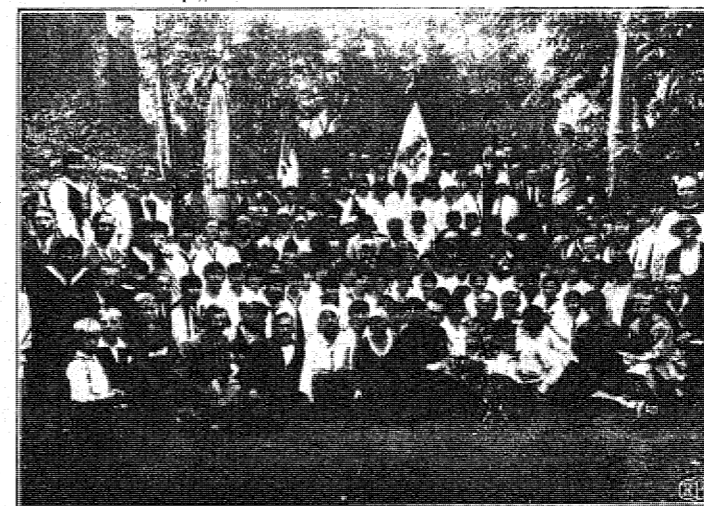
W ubiegłym tygodniu powróciła do Łodzi z Częstochowy corocznie organizowana pielgrzymka wiernych, udających się na Jasną Górę, do cudownego obrazu Matki Boskiej. Na zdjęciach widzimy liczny zespół uczestników tegorocznej pielgrzymki z chorągwiami i insygniami kościelnymi.



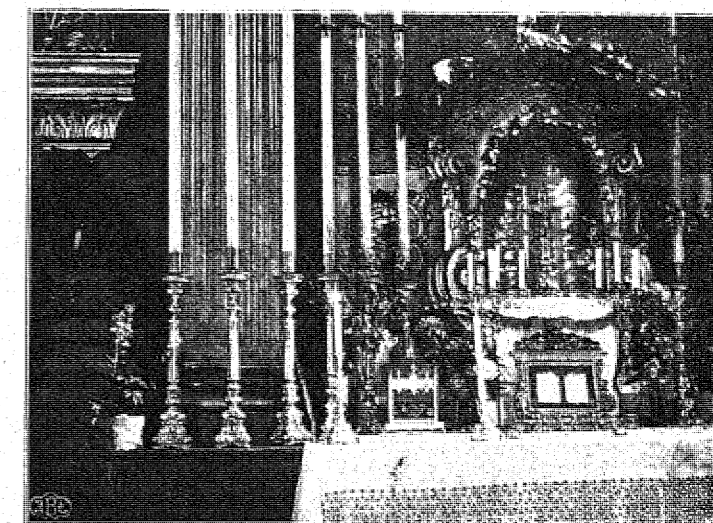
Zarząd szkoły powszechnej Nr. 2 oraz opieka szkolna tej szkoły zorganizowały wycieczkę uczniów do Gdyni i Gdańska. Powyżej wycieczka z kierownikiem szkoły p. K. Biłskim i członkami opieki szkolnej na czele.



Grupa zawodniczek meczu w koszykówkę, rozegranego w Krakowie w ub. miesiącu. W środku stoi najlepsza zawodniczka polska, M. Kwaśniewska oraz B. Połomska. W głębi prezes O. Z. W. F. w Łodzi por. Woskowicz.



Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej „Katedra“ zorganizowało uroczystość poświęcenia sztandaru. Na zdjęciu widzimy delegację i gości, biorących udział w uroczystości.



Altarz w kościele w Lutomińsku, z którego odbyło się przeniesienie relikwii do kościoła klasztornej ks. ks. Salezjanów.

Na usługach policji...

Pani Sermizelles straciwszy urodę w samochodowym wypadku i nie mogąc z tego powodu wzbudzać miłosnych zapalów u osobników płci brzydkiej, że znosiła objawy och u innych.

W domach, gdzie bywała i dokąd zapraszano ją chętnie dla jej rozmowności, sprytu i kostycznego nieraz dowcipu, była od pewnego czasu świadkiem rosnącej jak na drożdżach skłonności młodego, bogatego, świeżo z prowincji przybyłego Jerzego Riancey do ślicznej pani de Niges. Cały świat zdawał się spiskować na rzecz tych dwojga, popychając ich ku sobie. Ilekroć jakaś pani domu naprzykład zapraszała panią de Niges do siebie, wszyscy byli zgóry pewni, że da jej pana Jerzego Riancey za sąsiada.

Trzeba trafia jednakże, iż na skutek omyłki w kantoniku pan Riancey otrzymał pewnego wieczoru miejsce obok pani Sermizelles przy obiedzie, podczas gdy pani de Niges, która i strojna jak migdy, uśmiechała się z drugiego końca stołu do niego.

— Tak — nadmienila jego sąsiadka, zauważwszy w jakim kierunku idą jego spojrzenia — ona świetnie robi twarz.

Pomyślał, że pani Sermizelles musi czuć się bardzo nieszczęśliwą nie mogąc rywalizować z panią de Niges, ale przez grzeczność wstrzymał się od odpowiedzi.

— Jaka szkoda! — ciągnęła dalej pani Sermizelles, jaka szkoda, doprawdy, że...

— Ze co? — nalegał Jerzy Riancey — kiedy rozmówczynie jego urwała nagłe.

— Włec pan nie wie o niczem? — spytała tajemniczym półszepceniem, nachylając się ku niemu.

— O czem mam wiedzieć?

— Ależ, że pani de Niges jest na usługach policji!

Podskoczył, jak gdyby dostał granatem podczas wojny.

— Pani żartuje! — zaprotestował z oburzeniem, przyszedłszy po chwili do siebie.

— Bynajmniej. Czytales pan ostatnią książkę Madelina, świeżo przyjętego na członka Akademii literata?

— Nie, pani. To duża powieść podobno — odparł, odetchnawszy z ulgą, pewny, że pani Sermizelles zmieniła temat rozmowy.

— Tak jest. Dwutomowa. Wiele ciekawych rzeczy można się z niej dowiedzieć. O ogólnej organizacji policji z czasów cesarstwa naprzykład. Należały do niej kobiety z wyższych sfer. Józefina we własnej osobie nawet — za Dyrektorjat. I dziś jest tak samo. Kobiety otrzymują wynagrodzenie za raporty i doniesienia składane w prefekturze oraz ministerjum spraw wewnętrznych o poglądach politycznych, panujących w tonie towarzystwa, w którym się obracają, jak i o skandalach towarzyskich. Są jednym słowem prawą ręką władz policyj-

nych i rządowych. Uszami ich i oczyma.

— Skąd pani wie o tem? — pytał Jerzy Riancey przerywanym ze wzburzenia głosem.

— Nie mogę, niestety, podać panu źródła, ale postanowiłam ostrzec pana.

— Pani pozwoli, że nie dam wiary słowom jej.

— Słusznie. Nie trzeba nigdy i niczemu wierzyć na świecie. Wystarczy obserwować — odparła pani Sermizelles, poczem urwawszy, zagała ogólną rozmowę, wciągając w nią troje czy czworo osób co najmniej.

Do siedzącego po obiedzie w kącie salonu Jerzego Riancey prześliznęła się pani de Niges, z zapytaniem na ustach:

— Co panu jest dzisiaj? Taki pan zamysłony!

Zaprzeczywszy, chciał smuć dalej wątek intrygi miłosnej, ale szło mu jak z kamienia i sprawy jego sercowe nie posunęły się na przód tego wieczora.

* *

Mineła zima i wiosna, ustępując miejsca porze letnich wywczasów.

— Dokąd pan jedzie na wakacje? — spytała zmieniona pani de Niges Jerzego Riancey pewnego wieczora, słysząc, że zamierza już opuścić Paryż.

— Do siebie.

— To znaczy?

— Do mojej willi w Gex, w pobliżu Ferry Waltera.

— Tuż pod Genewą w takim razie.

— Ależ pani mocna w geografii! — próbował żartować. — A pani dokąd podąży w ciebie? — spytał mimowoli.

— Nie wiem jeszcze. To zależy od wielu rzeczy.

Naturalnie — pomyślał — od obowiązków służbowych w policji!...

W policji...? Jak on śmiał piętnować tę czarującą istotę, nie mając na to niezbitych dowodów? Nie! Nie! Teraz on będzie policjantem! Musi przed odjazdem przeprowadzić sam ankietę, żeby wiedzieć, czego się trzymać wreszcie!

Z chytrąSherlocka Holmesa zaczął więc śledzić każdy niemal krok pani de Niges, na skutek czego przekonał się czarno na białem o jej bytności w dniu 10 lipca w prefekturze policji, ministerjum spraw zagranicznych i ministerjum spraw wewnętrznych.

Jakże nie miał wierzyć słowom pani Sermizelles? Musi bezwzględnie stłumić w sobie uczucie dla pani de Niges. Do jakiego gniazda os o mało co nie wpadł! Co za szczęśliwy przypadek zdarzył, że siedział przy pani Sermizelles owego pamiętnego wieczora!

* *

Mały zamek Jerzego Riancey znajdował się rzeczywiście u wrót Genewy, będącej

w pełni sezonu poprzedzającego wrześniową sesję Ligi Narodów. Cały świat zatem pacyfistów i pięknych kobiet zebrał się na brzegach jeziora Lemanu.

Jakież było zdumienie Jerzego Riancey, kiedy na pierwszym proszonym przyjęciu u markizy de Beril spotkał się z panią de Niges w ogrodzie.

— Pani tutaj? — zdziwił się, witając ją — jakim zbiegiem okoliczności?

— Żadnym — odparła, patrząc mu prosto w oczy — przyjechałam wślad za panem, żeby dowiedzieć się tu przynajmniej, dlaczego pan uciekasz ode mnie?

— Uciekam? Bynajmniej! — próbował zaprzeczyć.

— Owszem! Uciekasz pan — powtórzyła z naciskiem i ze łzami w oczach — jak gdyby pan obawiał się mnie. Proszę wytłumaczyć się nareszcie.

— Dobrze, wytłumaczę się przed panią — odrzekł w nagłym porywie szczerości — jeśli pani odpowie mi na moje pytania.

— Czekam. Pytaj pan.

Zawahał się.

— Ależ, pytaj pan, — nalegała pani de Niges zdenerwowanym głosem — teraz... żądam tego od pana.

— A włec... co pani robiła 10 lipca w prefekturze policji?

— Dziesiątego lipca? Zaraz... zaraz... pozwól mi pan pomyśleć! Aha! Wyrabiałam sobie paszport zagraniczny, wybierając się do Szwajcarii.

A tego samego dnia w ministerjum spraw zagranicznych? — indagował dalej zbity z tropu.

— Prosiłam o wizę!

— A w ministerjum spraw wewnętrznych?

— Udałam się do osobiście mi znanego ministra z prośbą o stałą kartę wstępu na posiedzenia Ligi Narodów. Ale pan śledzisz mnie, jak widzę. Czy nie jesteś pan na usługach policji przypadkiem?

— Ja? Nie, proszę pani! — oburzył się. — Ani pani! — dodał po chwili z przekonaniami.

— Jaktto, ani ja? — rzuciła się pani de Niges i magle, jak gdyby jasno się jej zrobiło w głowie, zawołała:

— Panu powiedziano o mnie, że... Skinał głowa.

— I pan uwierzył?!

— Kocham!... Kocham!... A która nigdy kochać mnie nie będzie!... — dokończył pełen rozpaczy.

Lecz nagle zdecydował się na krok stanowczy. Objął ją spragnionem ramieniem i wycisnął na jej ustach długie pocałunek.

— Pani de Niges nie bronila mu się za wiele.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok IV.

Niedziela, 27 lipca 1930 roku.

Nr. 31.

DO ATAKU POD OSSOWEM.



Łódź niezadługo już uczci pamięć bohaterskiego kapłana, ks. Ignacego Skorupki, który z krzyżem w ręku zagrzewał do wytrwania i dodawał otuchy walczącym żołnierzom polskim w roku 1920 z hordami bolszewickiego najazdu. Bohaterski ten kapłan legł na polu chwały, spełniając swe posłannictwo. W niedalekiej przyszłości nastąpi w Łodzi odsłonięcie pomnika poświęconego upamiętnieniu tej wzniósłej postaci wielkiego kapłana. Powyżej widzimy fragment z płyty pomnika, wyobrażający atak pod Ossowem. Płyty wykonane zostały przez prof. Państwowej Przemysłowej Szkoły Żeńskiej w Łodzi, p. Franciszka Sługockiego.